Lech Kańtoch

„Jestem przekonany, że możemy wspólnym wysiłkiem zminimalizować ryzyko wikłania 150. rocznicy Powstania Styczniowego, wydarzeń sprzed tylu lat, tej rocznicy niezwykłej, ważnej dla Polaków, w bieżące spory polityczne” – to fragment wystąpienia okolicznościowego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Było tam sporo ciekawych sformułowań, ale jednego zabrakło – w jakim kraju ono wybuchło i przeciwko komu walczyli Polacy.
Można się zastanowić, czy w przeciwieństwie do prezydenta, który z wykształcenia jest historykiem, wszyscy Polacy wiedzą, kto był naszym ciemiężcą?

Dominuje niewiedza historyczna

Mimo tak istotnego znaczenia w historii Polski wiedza o powstaniu styczniowym jest raczej marna. Pokazały to badania TNS Polska. Dla 4 procent ankietowanych powstanie styczniowe wybuchło podczas II wojny światowej lub w ogóle w XX wieku. 2 procent podało jeszcze inne daty.
Zaledwie 31 procent Polaków wie, że powstanie styczniowe miało miejsce w XIX wieku, ale tylko 19 procent potrafi podać datę: 1863 r. lub 1864 r. 63 procent na pytanie: kiedy było powstanie, odpowiada, że nie wie.
39 procent badanych wie, że powstanie było skierowane przeciw Rosji carskiej, a 20 procent, że przeciw Rosji, ale nie jest pewnych, czy przeciw Rosji carskiej, czy ZSRR. 20 procent badanych wie, że przeciw „zaborcom”. Ale nie wie, przeciw którym.
Według 4 procent respondentów powstanie styczniowe było skierowane przeciw ZSRR, według 3 procent – przeciw Prusom, według 2 procent – przeciw Niemcom. 2 procent podało, że przeciw Niemcom hitlerowskim. 11 procent ankietowanych odpowiedziało, że nie wie.
31 procent respondentów nie wie, jak zakończyło się powstanie styczniowe. 53 procent odpowiedziało, że klęską, a 11 procent, że zwycięstwem. Według 5 procent zostało nierozstrzygnięte.
Można się więc zastanowić nad stanem wiedzy o historii naszego kraju. Zwłaszcza wydarzenia tej rangi co powstanie styczniowe. Z czegoś to przecież wynika. A może należy jeszcze bardziej ograniczyć ilość lekcji historii w szkołach? A w ich „resztówce” nacisk położyć na „dokonania III i IV RP”!
Bo czy ktoś z wykształconych w ostatnich dwudziestu latach młodych ludzi na przykład wie co to była Komuna Paryska i czy miała jakieś związki z komunizmem bądź z Komunią Świętą? Nie musi. Przecież to jest nikomu nie potrzebne.

Ciemiężcą była Rosja

Pisząc niedawno temu o rosyjskich związkach zawodowych cały czas stawiałem sobie pytania: Dlaczego dopiero w 1917 r. doszło w Rosji do dwóch „gigantycznych eksplozji”: rewolucji lutowej i październikowej? Czy carowie nie potrafili choć odrobinę zrezygnować z samodzierżawia? I dopiero klęska militarna podczas I wojny światowej wstrząsnęła podstawami Imperium Romanowych?
By odpowiedzieć na te pytania trzeba zdać sobie sprawę z tego, czym był system panujący w Rosji. Autorytarny reżim carski nie miał odpowiednika w świecie. Tam wszystkim rządził car, wszystko było poddane nadzorowi jego wszechwiedzącej policji politycznej. Wszystko trzeba

było z władzami ustalać. Jakikolwiek inicjatywa czy bunt był wykluczony i z góry skazany na porażkę.
Przekonali się o tym „dekabryści", których powstanie krwawo stłumiono. Za krytykę samodierżawia („tylko idiota może coś takiego pisać" – uzasadniano) został „izolowany" od społeczeństwa Piotr Czaadajew. A on był pierwszym Rosjaninem na długiej liście opozycjonistów. Nikołaj Czernyszewski dopiero w latach sześćdziesiątych zaczął prezentować poglądy o konieczności rewolucji w Rosji. W korespondencji tajnej policji nazwany został „wrogiem numer jeden Imperium Rosyjskiego".
Również represjonowany był Aleksander Hercen, który musiał z Rosji emigrować i na obczyźnie współpracował z Polakami. Wspierał powstanie styczniowe, przez co naraził się wielu swoim rodakom.
Stąd do końca, aż do rewolucji 1917 r., Rosja była uważana powszechnie za „żandarma Europy". Gdy tylko zaszła potrzeba interweniowała w imieniu Świętego Przymierza, by bronić zagrożonego ancien regime. Pokazała to tłumiąc Powstanie Listopadowe czy walcząc w latach 1839 – 1859 na Kaukazie ze zbuntowanymi Czeczenami Imama Szamali. Rosja też czynnie interweniowała zbrojnie na Węgrzech podczas Wiosny Ludów.
Jedyną szansą na powodzenie powstania mieli Polacy po przegranej przez Rosję „wojnie krymskiej", która obnażyła w pełni jej słabość. Mogła jeszcze wówczas liczyć na pomoc ze strony Francji i Anglii. W latach sześćdziesiątych było już za późno. Zmienił się układ sił w Europie.

„W bój bez broni"

Nie da się ukryć, że w Królestwie Polskim wrzało od lat. Był ostry spór między „białymi", a „czerwonymi", zwolennikami powolnych reform i walki zbrojnej o niepodległość. Wyznaczono nawet termin powstania. Młodzi Polacy zostali sprowokowani przez politykę cara i margrabiego Wielopolskiego. Przed „branką" do wojska uciekali do lasów. A tam mając „gorące głowy" parli do powstania. I w rozpaczy zdeterminowani wywołali go.
Nie mieli żadnych szans powodzenia. Siły powstańcze liczyły tylko 20 tysięcy ochotników, którzy „poszli w bój bez broni" – jak można było słyszeć w powstańczej pieśni – że „obok Polski znak Pogoni (litewskiej)". Skazani na klęskę – uzbrojeni w broń myśliwską i kosy na sztorc – walczyli przeciwko 100 tysiącom wojska rosyjskiego. A także „białym", których uważno za zdrajców sprawy narodowej. Wydawali też na nich wyroki śmierci.
Ponieśli – a wraz z nią naród polski – straszną klęskę na polu militarnym. Szacuje się mogło zginąć 15 tysięcy powstańców. Rozpoczęły się długie lata zawziętych prześladowań, a stan wyjątkowy z 1862 r. obowiązywał do I wojny światowej. Trwały zsyłki (40 tysięcy), cofanie się żywiołu polskiego z wschodnich ziem I Rzeczypospolitej. Królestwo Polskie straciło też samorząd, jaki wcześniej miało. W 1868 r. zmieniono nazwę Królestwa na „Kraj nadwiślański" (privislinskij kraj), rządzony przez generał – gubernatora.
Następowała brutalna rusyfikacja, znana choćby z „Syzyfowych prac" Stefana Żeromskiego. I wreszcie – co się zapomina – planowe „ogłupianie Polski do poziomu Rosji". Bo taka była carska dyrektywa dla następców margrabiego Aleksandra Wielopolskiego.

Sens czy bezsens?

Nie zapominajmy, że powstanie styczniowe było również porażką liberum veto realizowanego

zasadą liberum conspiro. Rozpoczął się zawzięty spór o sens lub bezsens powstania styczniowego. Stąd nie przeszedł bez refleksji nad dziejami Polski. Przerodził się w kluczową debatę między szkołami historycznymi: warszawską i krakowską.
Dyskusję wywołali młodzi ochotnicy z Galicji, którzy nie musieli walczyć, a trafili do więzień austriackich. To oni będąc później profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego zakwestionowali rolę Polski jako „Chrystusa narodów". Zwrócili uwagę, że to Polacy sami – a nie źli sąsiedzi – byli sprawcami upadku Polski. To działalność późniejszych „Stańczyków" – Stanisława Tarnowskiego, Józefa Szujskiego i Michała Bobrzyńskiego – i ich spór z historykami warszawskimi okazał się ożywczy. Mit ofiary był bowiem zgubny, bo utrudniał analizy. Ale ten pesymizm w ocenie dziejów Polski umożliwiał realistyczne spojrzenia na historię i aktualną wówczas sytuację. Bez powstania takie myślenie by się nie zrodziło.
Wieloletnia dyskusja pokazała – co po latach niezwykle optymistycznie pisał profesor Henryk Wereszycki – że „powstanie styczniowe uczy nas, że naród polski potrafi przetrwać każdą klęskę i uczynić z niej zaczyn późniejszego zwycięstwa". A tym było odzyskanie niepodległości w 1918 r.

Zamiast zakończenia

Panu Prezydentowi warto przypomnieć, że nie musi być aż tak bardzo „subtelny". Wszak prezydent Władimir Putin nie „wikłał" Polski z sprawy 60 – lecia zakończenia II wojny światowej. Nie wspomniał ani słowem o czwartej sile antyfaszystowskiej koalicji – polskim w niej udziale. Mówił natomiast wiele o antyfaszystach niemieckich i włoskich.
Z kolei trzeba zwrócić uwagę, że PiS nie ma prawa uzurpowania sobie roli jedynego spadkobiercy wszelkich późniejszych tradycji powstańczych. Tym bardziej, że powstanie styczniowe było dla Karola Marksa impulsem do powołania do życia we wrześniu 1864 r. I Międzynarodówki Socjalistycznej. O tym też warto pamiętać.

Lech Kańtoch